

Obóz pracy „Marina”

Po 1989 r. zaczęły w Polsce, jak grzyby po deszczu, wyrastać zamknięte osiedla. Ogrodzone, naszpikowane kamerami i inną wszechobecną elektronikę, niczym ziszczenie mrocznych wizji George’a Orwella.

Jak na ironię robotnicy, którzy w 1981 r. rozpoczęli krwawo okupiony marsz ku niepodległości nie mieszkają w eksterytorialnych osiedlach. Nawet nie mają do nich wstępu. Chyba, że ktoś litościwy ze szczęśliwych posiadaczy luksusowych mieszkań zaprosi „mniejszego brata” w swoje dumne progi przy okazji jakiegoś remontu, albo przebudowy nie zawsze odpowiadającego jego wyszukany gustom estetycznym wnętrza.

W świecie iluzji

Żyjemy w świecie symboli, uwikłani w historyczne zaszłości i niepewną przyszłość. Orzeł z koroną i Matka Boska, patronka Polski to symbole polityczne. Zamknięte osiedla i limuzyny z przyćmionymi szybami cicho przemykające w kierunku kasyn, luksusowych agencji towarzyskich i drogich hoteli to symbol odradzającego się po prawie półwiecznym, komunistycznym zniewoleniu kapitalizmu. Ustroju, którego większość Polaków wcześniej nie znała, chyba, że ci nieliczni, którzy pamiętają czasy przedwojenne, albo ci szczęśliwcy, którym udało się za komuny od czasu do czasu wyjechać zagranicę i popracować przez kilkanaście godzin dziennie na zmywaku, lub na budowie, po to by wrócić z dumnie podniesionym czołem z zarobionym zielonym szmałem. I zacząć tutaj od nowa. Prawdziwe życie. W wolnej Polsce, na wolnym rynku.

Wskaźniki mówią o wzroście gospodarczym. I pewnie nie kłamią. Gospodarka radośnie się rozwija, a inflacja jest znikoma. Tylko dla kogo? Dla wielodzietnej rodziny będącej na utrzymaniu ojca, który pobiera brutto od 936 złotych (bo mniej nie wolno, to najniższa płaca w Polsce), do nieco ponad tysiąca? Czy dla prezesów banków i spółek, którzy pobierają po kilkaset tysięcy miesięcznego wynagrodzenia, a w chwili dymisji otrzymują wielomilionowe zadośćuczynienie w postaci odpraw?

Kiedyś ktoś mądry powiedział, że kłamstwa dzielą się na wielkie, małe i statystyczne. Zapomniał tylko dodać, że statystyka to najlepsza przykrywka urzędniczej niekompetencji, politycznych szwindli i ideologicznych brudów.

Zgodnie z jej nieubłaganą logiką bezrobocie wyraźnie spada, choć i tak jego wskaźnik niebezpiecznie zbliżający się do 15% jest jednym z najwyższych w skali europejskiej. Zresztą lepiej byłoby powiedzieć, że spada w systemie rotacyjnym. Dziś ty, jutro ja. Ktoś musi tyrać, by nie tyrał ktoś. Stąd tak wiele ofert pracy, najczęściej nafaszerowanych obcojęzyczną terminologią, tak, że nawet babka, która układa towary w sklepie przestała być zwykłą sprzedawczynią, a stała się merchandiserką, a każdy zarządzający czymkolwiek jest zawsze jakimś tam managerem.

Za wszelką cenę

Firmy ochroniarski ogłaszają się najchętniej. Widać coraz więcej z nas, członków sytego i bogatego społeczeństwa, chce się chronić. Przed kim? Ano przed bandytami, bo tych przybywa więcej, aniżeli policja jest w stanie złapać, a sądy, natchnione duchem powszechnego braterstwa, zamknąć. A może przed sąsiadami, bo w dawnych blokowiskach naprawdę trudno było wytrzymać, a teraz można wreszcie mieć trochę świętego spokoju? W końcu jak się zarabia...

Firmy ochroniarskie też chcą zarobić. Byli milicjanci, negatywnie zweryfikowani oficerowie specluźb różnej maści, dziarscy emeryci w stopniu od majora wzwyż i domorośli militaryści oraz entuzjaści porządku chętnie podejmują rękawicę rzuconą przez rynek i korzystając z dawnych prerogatyw, jak choćby prawo do posiadania broni, wyrabiają licencję i zakładają spółki ochroniarskie. Mniejsze i większe.

Ale niespodziewanie i zachodni potentaci w dziedzinie ochrony ludzkiego życia i mienia, wyczuli w Polsce wielki i dziewiczy rynek dla swoich usług. Toteż w porozumieniu z dawnymi towarzyszami z MO, SB, WSI czy kilku sprawiedliwymi (bo pewnie i tacy się zdarzają; casus rodzina Lota w Sodomie) którzy w rzeczywistości nie za bardzo chcą się pokazywać na świeczniku, weszli z nimi w spółki i powołali do życia kilka hybryd na skalę kraju, które skutecznie przejęły pieczę nad większością tzw. obiektów chronionych, w tym osiedli.

Same jednak nie potrafiły dogadać się między sobą i bezwzględnie konkurują o kolejne obiekty, natrętnie oferują swoje usługi, jaskrawo odmalowując co się może stać, jeśli ktoś nie przyjmie życzliwie zaproponowanej opieki. Walka toczy się również o pracowników, aby zatrudnić ich jak najwięcej i jak najtaniej. Rekordziści zamieszczeni w dodatku „Praca” Gazety Wyborczej oferowali widełki

płacowe od 1,50 do 4,30 zł za godzinę, a więc najtańszy pracownik miałby według nich pracować 8 (najczęściej 12) godzin za sumę od 12 do 16 złotych. Co prawda ci najtańsi to najczęściej renciści i każdy pan prezes chętnie ich przyjmie, bo raz, że mogą pracować za mniej, a dwa, że odpada ZUS, a pewnie i jakieś ulgi podatkowe dadzą się wykroić z napiętego budżetu.

Jest praca!

Okazały biurowiec w centrum Warszawy, przy rondzie Daszyńskiego. Na szczycie dumne logo firmy. W Gazecie Wyborczej co poniedziałek stosowne ogłoszenie, ale nie z kategorii tych drobnych, choć figuruje w rubryce „Ochrona”, ale duże, wyróżnione odpowiednią czcionką i na innym tle.

Oszklone wejście, a za pulpitem wyposażonym w komputer urocza pani i pan w garniturze z logo firmy. Do kogo? Kadry? Szóste piętro, tam pan znajdzie telefon i numer. Winda bezszelestnie wjeżdża na górę, a tam przed kolejnym oszklonym wejściem czeka już stadko chłopców i dziewcząt, często zaraz po szkole, radośnie uśmiechniętych. Może teraz się uda. Obok nich nieco starsi. Mniej uśmiechnięci. Swoje przeżyli. A jak się uda... Wtedy dopiero się zobaczy. Bo w ochronie bywa różnie. Tylko jedno jest niezmiennie - niskie stawki. Jak dadzą 4 złote na godzinę to można zacząć rozmawiać. Za mniej, ni ch...ja, nie idę, mówi zażywny czterdziestolatek o przekrwionym obliczu.

Rozmowa w kadrach. Dystyngowani panowie. Jeden nieco starszy, prosty jak trzcinka z siwym wąsem. Podobno emerytowany pułkownik. Granatowe garnitury, jednakowe krawaty, niczym na festynie „Samoobrony”, zawodowe uśmiechy. Krótka rozmowa. Szczegóły nikogo nie interesują, panowie to rozumieją, a wojsko... Był pan, ale kategoria E, nie szkodzi, tutaj po prostu nic pan nie pisze. Znów uśmiechy. Skierowanie do lekarza, to konieczne. Na nasz koszt, dodaje „pułkownik”. Tylko szybko, bo obiekt czeka. Jaki obiekt? Nazwę wymawia niewyraźnie, ale końcówkę słyszeć dobrze „... strzeżone osiedle”. Na drugi dzień jest już po wszystkim. Lekarz też nie robi problemów. Tylko wywiad i ciśnienie. Zresztą firma medyczna świadcząca usługi dla firmy ochroniarskiej stanowi z nią zintegrowaną całość, choć nosi inną nazwę. To normalka. Moloch prawny i biurokratyczny. Pozostają tylko podpisy. Stawka, no... etat, najniższa (gwoli przypomnienia 936 złotych i ponoć niefrasobliwa końcówka groszowa), ale tutaj pracujemy 24 godziny na 48 wolnego, a więc zawsze są nadgodziny. Można zarobić, to całe 1100 złotych na rękę! A jak ktoś chce więcej, firma nie robi

przeszkód. Rzeczywiście, kierownik odpowiedzialny za osiedla i sklepy od razu stawia sprawę jasno. Na razie wolałbym, żeby pracował pan 24 na 24, wie pan strasznie brakuje ludzi... No to zgoda? Umowę przysłemy za pięć dni na adres domowy. Na pożegnanie mocne męskie uściski dłoni. Ostatni błysk zębami w zawodowym uśmiechu. Wytrenowani w uprzejmości, ale w głębi pozostaje nieodparte wrażenie, że to głęboko zakonspirowani kanibale.

Ostatni etap - magazyn mundurowy. Marynarka, dwie koszule, bluza „polar”, bo w nocy może być zimno i spodnie. Zabawne, pewnie nowe, bo kieszenie mają zaszyte, a w domu nijak nie dają się odpruć. A może to specjalnie, aby ochroniarz, który ma być zawsze opanowany i w każdym calu profesjonalny nie wsadzał bezmyślnie rąk do kieszeni? Ale i na to jest rada. Delikatna interwencja nożem introligatorskim rozcina w końcu misterny szef broniący dostępu do kieszeni. Mundur jak ulał.

Bramy piekieł

„Marina” nie jest zwykłym warszawskim osiedlem. Zamknięte ulicami Żwirki i Wigury, Raławicką, Miłobędką i torami rzadko kursujących pociągów w dolince przecinającej niemal prostopadle Żwirki i Wigury od południa, stanowi prawdziwą enklawę w mokotowskim krajobrazie.

Dostępu do niej bronią trzy bramy, ale tylko ta od Raławickiej jest ważna. Ma dwa wjazdy i jeden wyjazd. W obie wycelowane są kamery o zmiennej ogniskowej, a w budce wartowniczej znajdują się monitory, na których można przybliżyć wjeżdżające i wyjeżdżające pojazdy. To ważne, bo ochroniarz ma obowiązek spisać numer każdego auta, które wjeżdża na zamknięty teren, jego markę i adres pod który się udaje. Jeden wjazd jest dla gości, drugi dla mieszkańców osiedla, którzy z tej racji winni mieć przy sobie zawsze kartę magnetyczną, otwierającą właściwy szlaban. Tyle, że kartę trzeba przytknąć do czytnika, aby zadziałała, a samochód musi stać w odpowiedniej odległości od szlabanu, bo inaczej zabawa w „sezamie otwórz się” może się nie powieść i zdenerwowany właściciel musi gęsto tłumaczyć się ochroniarzowi, że tu mieszka, ale zapomniał karty. Wtedy bywa różnie. Jeśli ochroniarz zna człowieka, wpuści, jak coś mu nie pasuje zadzwoni do szefa na monitoring i poprosi o dyspozycję. Wtedy albo samochód wjedzie, albo nie. Ale jest jeszcze inne rozwiązanie. Zapomniałeś karty, jedź bramą dla gości. Tutaj do mikrofonu przed wjazdem musisz tylko zameldować do kogo. Ochrona zanotuje co trzeba (markę i numer) i wpuści.

Jest również bramka dla pieszych otwierana z budki ochroniarzy, albo za pomocą wspomnianej karty magnetycznej. Mieszkańcy „Mariny” wiedzą, że dostać się do wnętrza najłatwiej kartą toteż noszą ją zazwyczaj przy sobie na modnej w ostatnich czasach smyczy, niekiedy obok drugiej, na której rytmicznie w takt kroków podryguje telefon komórkowy.

Do bramy od Raławickiej prowadzi uliczka oznakowana jako droga wewnętrzna i nosząca dumną nazwę ulicy Fortów. Nic dziwnego, wszak obszar „Mariny” znajduje się na terenie dawnych Fortów Mokotowskich o czym świadczą dwa ziemne wały, które ciągną się wzdłuż Raławickiej i dodatkowo chronią osiedle przed wścibskimi spojrzeniami zazdrosnych warszawiaków. Bo całość i tak jest ogrodzona parkanem i poddana inwigilacji kamer.

Dwie pozostałe bramy są o wiele mniej atrakcyjne. Tylko wjazd i wyjazd od strony Żwirki i Wigury. Pierwsza, bardziej dostojna, przepuszcza do północy jeszcze wozy dostawcze i taksówki, po uprzedniej rejestracji, druga, niepozorna, usytuowana na końcu niewielkiej, krętej uliczki bez nazwy, jest bramą tylko dla mieszkańców, którzy muszą posiadać aktywną kartę. Bo jeśli zapomną, zgubią, lub nie daj boże im się rozmagnesuje, muszą wracać do Żwirki i Wigury, skręcić w Raławicką i od strony bramy głównej usiłować dostać się do środka. Gorzej jak karty zapomni pieszy, bo jeśli nie wymyśli czegoś sensownego, to nikt z ochrony nie uwierzy mu na piękne oczy, że jest mieszkańcem osiedla. Wtedy w ogóle może nie wejść, bez interwencji administracji czy powiadomieniu przez komórkę krewnych lub znajomych, że oto znajduje się tuż przed, ale nie może...

Innym sposobem ominięcia ochroniarzy jest podanie jako przyczyny swego przybycia chęci skorzystania z usług pijalni czekolady, działającej na terenie osiedla pod auspicjami Wedla czy skorzystania z kulinarnych rarytasów winiarni lub sushi baru. Przy względnie poprawnym wyglądzie ochrona nie będzie robiła przeszkód, gdyż już dawniej zdarzało się, że przez mylny osąd nie wpuściła kogoś, kto nagle okazywał się kimś na tyle ważnym (np. urlopowanym ministrem incognito) i złośliwym, że informował o zajściu właścicielkę pijalni, która składała skargę sympatycznej pani administrator. Ta zaś z urzędu przekazywała hiobową wieść kierownikowi ochrony, a ten z kolei, nie znosząc reprimendy (bo kto lubi?), opier...lał swoich podwładnych czyli szeregowych ochroniarzy, a więc tych co nie śpią (przynajmniej teoretycznie) i czuwają. Cygan zawinił, a kowala powiesili...

Mała apokalipsa

Bramkarze nie są jedynymi ochraniarzami na osiedlu. Główny ciężar chronienia życia, zdrowia i cennego dobytku mieszkańców spoczywa na „obchodowych”, czyli mówiąc potocznie - stójkowych. To oni dzień i noc patrolują ulice, zagląдают do klatek schodowych i garaży, reagują na każde bezpośrednie zagrożenie. Co więcej, każdy z nich po objęciu służby otrzymuje kartę magnetyczną, która podobnie jak karty mieszkańców otwiera wszystkie drzwi i krótkofalówkę. Teoretycznie więc ochroniarz ma dostęp do wszystkich pomieszczeń za wyjątkiem mieszkań, gdyż jeszcze nikt z pomysłodawców osiedla nie wpadł na pomysł i nie przekazał ochroniarzom kompletu kluczy do lokali, by mogli osobiście sprawdzić czy panuje cisza nocna, dzieciaki umyte, a małżonkowie śpią pod właściwym adresem. Ochroniarze nie mogą również swoimi kartami otworzyć bramek na teren willowy, znajdujący się w północno-wschodnim narożniku osiedla i oddzielony od reszty miasteczka narożem osiedlowego parkanu i ulicami Łagodną i Przejazd. To teren ściśle tajny.

Na przeciwko tej enklawy znajduje się administracja osiedla, a z nią zrosnięty jak bliźniak syjamski monitoring, pokój jak w Pentagonie, z szefem wszystkich bramkarzy i stójkowych, czuwającym przy ścianie pełnej monitorów. To on ma widzieć i wiedzieć o wszystkim. Miejsce „centrum dowodzenia” nie jest przypadkowe. Zbieg ulic Warownej i Przejazd, a więc głównych pasażów osiedla to newralgiczny punkt „Mariny”. Na obu wspomnianych ulicach znajdują się wszystkie uciechy tego odizolowanego zakątka Mokotowa, a więc winiarnia, sushi bar, pijalnia czekolady, salon fryzjerski, cukiernia, delikatesy, apteka, gabinety stomatologiczny i okulistyczny, a nawet bank i sklep ze zdrową żywnością. Gorzej z pocztą i bankomatami. Są blisko, ale już po drugiej stronie muru, a przecież każda wyprawa poza granice osiedla może skończyć się tragicznie. Bo nie wszędzie da się zaparkować na strzeżonym parkingu swoim ślicznym i drogim autkiem. A wiadomo - Warszawa to miasto o najwyższym wskaźniku przestępczości w Polsce.

Wszystkie kompleksy budynków mają osobne ogrodzenia. Dostać się do nich można za pomocą karty otwierając właściwą furtkę. Do konkretnego budynku można wejść normalnie, drzwi zewnętrzne zazwyczaj nie są zamykane, ale już na klatkę znów obowiązuje magiczna krata lub znajomość kodu zastrzeżonego w zasadzie tylko dla mieszkańców.

Stójkowi rzadko za dnia opuszczają główne szlaki. Snują się po ulicach jak cienie na Polach Elizejskich, by Wielki Brat mógł zobaczyć jak wydajnie pracują.

I podbijają karty gdzie tylko można, bo każde odbicie jest rejestrowane na komputerze, by potem można było sprawdzić, w którym miejscu i o jakiej godzinie przebywał dany pracownik. A więc ocenić czy dobrze, czy źle i czy w ogóle pracował. Ale oko Wielkiego Brata widzi tylko ulice. Wewnątrz podwórek budynków wielorodzinnych, wzniesionych zazwyczaj na planie czworokątnym, wzrok Wielkiego Brata nie sięga, jak również nie może zobaczyć co też ciekawego dzieje się w garażach. I tę lukę ochroniarz może wykorzystać, by na chwilę przycupnąć czy się kimnąć skulony na schodach. Ale nie za długo, tak by nie znikł z pola widzenia Wielkiego Brata na dłużej niż 20 minut. Zresztą regulaminowo w ciągu 24 godzin przysługują mu cztery półgodzinne przerwy, o ile skrzecząca krótkofalówka nie wezwie go nagle na posterunek, monitoring czy miejsce jakiegoś zdarzenia.

Krótkofalówki mają wszyscy pracownicy ochrony, ale używają ich głównie w dzień, bo w nocy sygnał czy wykrzykiwanie do mikrofonu urywanych odpowiedzi może pobudzić mieszkańców. Były skargi. Tak więc komunikacja drogą radiową odbywa się głównie w dzień. Tyle, że jeśli szef lub jego podwładny chcą kogoś wywołać przez walki-talkie, to słyszą to wszyscy szczęśliwi posiadacze czarnych, podłużnych pudełek z antenami i na intymne rozmowy między pracownikami na falach eteru nie ma co liczyć. Zresztą nie tylko etatowi pracownicy, ale i średnio inteligentni radioamatorzy mogą zabawić się słuchając rozmaitych poleceń, często przypominających kabaretowe gagi. „Sprawdź ten samochód, bo źle zaparkował; Ty, zapytaj gościa ile jeszcze będzie stał, bo zajechał wyjazd; Słuchaj! Jakaś banda dobiera się do samochodów tam przy...” A potem okazuje się, że źle zaparkowany samochód należał do pani administrator, ten co zajechał wyjazd już odjechał, a grupa rzekomych złodziei samochodów to banda wyrostków, mieszkająca na osiedlu. Czasem trafi się pijak, czasem ktoś agresywny komu ochroniarz nakleił na szybę luksusowej toyoty kartkę z adnotacją, „proszę natychmiast opuścić to miejsce!”, czasem hałaśliwy domownik. Najczęściej wszystko kończy się polubownie, choć zdarza się przyjazd policji lub straży miejskiej. Bo ochrona nie może karać niesubordynowanych mieszkańców mandatami, ale w ramach regulaminu może wezwać policję lub straż miejską by uspokoiła zbyt głośnych imprezowiczów czy odholowała jakiś samochód, ustawiany z tępym uporem w niewłaściwym miejscu.

Niestety czcigodny „Stwórca” osiedla nie pomyślał o odpowiedniej liczbie miejsc do parkowania uznając, że na jednego właściciela jedno wystarcza, a goście... Eh,

jakoś to będzie. Co więcej, niewiele osób lubi zadawać sobie trud parkowania w podziemnych garażach. W końcu wieczorem i tak nikt nie przyjedzie, więc lepiej zaparkować pod domem, bo rano pośpiech i w ogóle, nikt nie będzie się bawił w szukanie karty i otwieranie garażu.

Mieszkańcy

Wbrew obiegowym opiniom mieszkańcy „Mariny” nie są społecznością bogatych snobów czy kombinatorów, choć nie wykluczone, że i tacy się zdarzają. Część z nich to osoby znane, wywodzące się ze środowisk twórczych, znaczny odsetek stanowią obcokrajowcy. Wśród tych ostatnich przeważają mieszkańcy z Dalekiego Wschodu, zawsze uprzejmi i uśmiechnięci, ale o nieprzeniknionych oczach. Oprócz nich spora grupka obywateli czarnoskórych i naszych słowiańskich rodaków zza wschodniej granicy.

Polaków również widać, choć trudniej zauważyć rdzennych mieszkańców osiedla, gdyż po jego uliczkach kręcą się przede wszystkim pracownicy obsługujący całą infrastrukturę „Mariny”. Polscy akcjonariusze ekskluzywnego osiedla to najczęściej biznesmeni, którym się udało. Niektórzy mili, potrafią przywitać człowieka nawet tak niskiego stanu jak ochroniarz, inni wyniośli niczym udziałni książęta przemykają na niewidzialnych wierzchowcach po traktach „Mariny” zwracając się do ochrony i służb sprzątających najczęściej w formie bezosobowej, bo jednak „mój dobry człowieku” dzisiaj już jakoś nie wypada. Najczęściej jednak pozostają obojętni. Patrzą niewidzącymi oczyma, mijają przechodniów, sami i samotni, nie bacząc, że obok nich tętni inne życie.

Jeszcze inną formą kontaktu pomiędzy mieszkańcem a pracownikiem jest pośrednictwo. Przykładowo, jeśli sąsiad na piątym piętrze wierci o godzinie 19 dziurę w ścianie i zakłóca tym samym spokój sąsiada, mieszkającego obok, to uszkodowany nie pofatyguje się do niego z sąsiedzką prośbą, by zaniechał, ale zadzwoni do administracji (w nocy zaś bezpośrednio do szefa ochrony), a ten wyśle umyślnego, tzn. ochroniarza, aby zlokalizował źródło hałasu, a następnie ukłoniwszy się do kamery przy domofonie (mieszkańcy mogą zobaczyć przez wideofony kto ośmiela się ich niepokoić) grzecznie poprosił o zaprzestanie uciążliwych dla innych czynności. Czasem jego prośba zostanie przyjęta ze zrozumieniem, czasem usłyszy w spolszczonej łacinie gdzie jest jego miejsce, lub swojskie „spier..., do k... nędzy”, a czasem zapewnienie, że miłośnik majsterkowania już, już kończy, ale po paru minutach, gdy tylko ujrzy

oddalającego się ochroniarza, zacznij na nowo. I tak w kółko, aż do ewentualnego przyjazdu policji.

Mity i rzeczywistość

Żyjemy w świecie paradoksów. Jaskrawym przykładem jest życie w ośrodku odosobnienia „Marina”. Odizolowani ludzie, ogrodzone budynki, mnóstwo kamer i czujek, własne sklepy, punkty usługowe i namiastka parku z jeziorkiem. I ochroniarze, których obecności trudno nie zauważyć, gdyż każdy po zmroku obowiązkowo nosi kamizelkę odblaskową z napisem „ochrona”.

W rzeczywistości jest to współczesna kraina Oz, do której jeszcze łatwiej przeniknąć, aniżeli do jej bajkowego odpowiednika. Trochę sprytu, jakiś sensowny adres czy pretekst i już można przekroczyć zakłete wrota i znaleźć się w środku „zakazanego miasta”. Potem pozostaje już tylko wejście do budynku podając się np. za pracownika poczty czy administracji, który musi sprawdzić działanie jakiejś instalacji. Mało prawdopodobne, żeby wszyscy mieszkańcy znali każdego pracownika osiedla. I nawet zasieki z drutu kolczastego pod napięciem czy wieżyczki z uzbrojoną w broń maszynową strażą nie wyeliminują rzekomego zagrożenia z zewnątrz. Bo nie o to tu przecież chodzi.